

Luigi Musolino
Inny mrok (fragment)

Przełożyła Natalia Pola Miscioscia

Nazywam się Danilo Marosso.

Jedynak.

Rocznik 86.

Przyszedłem na świat, kiedy mój tata miał czterdzieści lat, a mama trzydzieści osiem. Nie byli już najmłodsi.

Dorastałem w rodzinnym gospodarstwie w okolicach Orlasco, miasteczka liczącego sobie tysiąc dusz, dziesięć kilometrów od Pinerolo, czterdzieści od Turynu, u podnóża Alp.

Nadal tu mieszkam.

To zakątek Piemontu, do którego nowoczesność nie znalazła drogi. Wszystko jest tu dokładnie takie samo, jak trzydzieści lat temu: żwirowa droga, prowadząca do gospodarstwa, rosnące wzdłuż niej topole, które niczym szkielety czuwają nad dymiącymi stertami gnoju, mrok, który w bezksiężycowe noce pochłania każdy okoliczny rów, zdewastowane ruiny dawnych domów drogowców, szczerbiące horyzont...

To jednocześnie kojące i przerażające, jak niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pozostają zawsze takie same. W pewnych miejscach, podobnie jak w umysłach niektórych ludzi, czas stoi w miejscu. Myślę, że te dwie rzeczy się ze sobą łączą i nikt, nic na to nie poradzi. Tak już jest i tyle.

Moi rodzice „robili na gospodarce”, jak to się u nas mówi. Byli rolnikami i hodowcami. Posiadali dziesiątki hektarów ziemi (uprawiali na nich głównie kukurydzę i topole) i dziewięćdziesiąt świń upchniętych w chlewie, którego smród wdzierał się do naszego domu i rozciągał na kilometry wokół, czasem docierając nawet do ścisłego centrum miasteczka. Możliwe, że to właśnie z tego powodu w Orlasco zawsze krzywo na nas patrzono. Choć pewnie i dlatego, że mój ojciec był agresywnym pijakiem, a matka wnuczką kobiety, która w wieku dziewięćdziesięciu lat popełniła samobójstwo, wypijając na raz litr sody kaustycznej, wierząc, że jakaś wiedźma rzuciła na nią złe oko, przez co żołądek porastały jej źrenice... ale to zupełnie inna historia.

Mniejsza o to.

Gówno i szczyny świń były zlewane do ogromnego, cementowego zbiornika ustawionego pośrodku podwórka, gdzie mieszały się w, jak mawialiśmy, sughet - odrażającą breję, równie odstręczającej barwy. Brąz, pokryty warstwą spienionej żółtawej szumowiny. Kolor fekaliiów, nieczystości, gnojowicy zbyt kwaśnej, by użyć jej jako nawozu.

Teraz basen stoi pusty, bo i świń już nie ma, ale czasem, gdy przechodzę przez podwórze o zachodzie słońca, nadal czuję ten smród. Ten fetor siedzi tylko w mojej głowie, wiem o tym doskonale, tak samo jak wiem, że zniknie dopiero wtedy, gdy przestanę oddychać.

Pamięć może przechowywać zapachy i wiele innych rzeczy.

Pamięć może być przekleństwem.

Co rano szedłem do szkoły, gdzie nie miałem żadnych przyjaciół, gdzie wszyscy śmiali się ze mnie, bo byłem gruby i cuchnąłem gnojem. W gospodarstwie dbanie o higienę nie było nigdy na pierwszym miejscu.

Popołudniami pomagałem ojcu w polu i przy zwierzętach. Nie robiłem tego z własnej woli. Musiałem. Wolałbym zostać w swoim pokoju i czytać poezję albo wymyślać niestworzone historie, przeglądając czasopisma, które kupowała matka, wyobrażać sobie perypetie policjantów i złodziei, wyprawy poszukiwaczy skarbów czy przygody śmiałków w odległych zakątkach świata, gdzie piękne księżniczki pokonywały siły zła.

Ale nie mogłem.

Trzeba mi było „robić na gospodarce”, harować jak wół, gromadzić pieniądze, za które można kupić następne świny, kolejne traktory, kolejne ziemie pod uprawę topoli.

Zawsze lubiłem poezję, już od pierwszych lat podstawówki. Rodari, później Buzzati i Ungaretti. No i Leopardi:

Gorycz i nuda życia, nic więcej,¹

A świat to bagnisko.

Ale najbardziej kochałem wiersze Dickinson. Jest coś tak rozdierającego w jej wersach, podobnie jak w jej samotniczym życiu w zamknięciu, z dala od świata, że wzruszam się na same ich wspomnienie...

Sam nawet kilka napisałem. Nie wiem, skąd wzięła się u mnie ta skłonność, ale poezja była jedną z niewielu rzeczy, którymi się interesowałem. Zacząłem mniej więcej w wielu ośmiu lat od prostych poezji, opisujących życie wsi. Nie były to radosne wierszyki. Raczej coś w rodzaju:

Kwik maciory

Płoszy muchy

Topole

Rosną koślawe

Na suchej ziemi.

Nikomui ich nie pokazywałem. Nikt, z resztą, nie chciałby ich czytać. Powiedzieliby: „Patrz no, ten debil Marosso wymyślił sobie, że będzie poetą!”. Chociaż to nie końca prawda, bo jeden z moich wierszy, może nawet najlepszy, jednak ktoś przeczytał... Ale znów odchodzę od tematu. No, już, do rzeczy. Uprzedzałem, że to nie będzie prosta przeprawa.

¹ Giacomo Leopardi, Poezje, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1938, tłum. Julja Dickstein-Wieleżyńska

Wybaczcie.

O czym to ja.

Gdyby szkoła nie była obowiązkowa, gdybym urodził się trzydzieści lat wcześniej, moi rodzice trzymaliby mnie przez całe życie na roli. Szpadle, traktory, pasze. Maciory, rowy, orka.

Mama była cichą, podporządkowaną istotą, skupioną wyłącznie na niekończącej się harówce przy garach, kurach, indykach i grządkach. Nigdy mnie nie broniła. Gdyby spróbowała, najczarniejszy gniew ojca uderzyłby prosto w nią. Bała się go bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Wszyscy się go baliśmy. Nawet zwierzęta. Przede wszystkim zwierzęta.

Dostawałem od niego jedynie baty. Od najmłodszych lat. Wszyscy ludzie rodzą się z ziarnem nienawiści, a gdy życie okazuje się ciężkie i żmudne, i nikt nie wypleni tego ziarna, cóż... zamienia się w pasożyta, trującą i inwazyjną roślinę, która jednocześnie pożera i karmi. Tata swoje ziarenko pielęgnował przez lata. Nie było to wymagające zajęcie: zło, podobnie jak pasożyty, nie potrzebuje specjalnych zabiegów. Wystarczy dać mu przestrzeń, a samo rośnie silne i bujne.